

Konrad Turzyński

## Wspomnienie o początku **stanu wojennego**



<http://swkatowice.forumoteka.pl/viewtopic.php?p=1092#1092>

Moja praca w Zarządzie Regionalnym NSZZ „Solidarność” w Toruniu polegała na redagowaniu **„Serwisu TAS”**, tj. codziennego wyboru wiadomości pochodzących głównie z dwóch „solidarnościowych” agencji prasowych (AS w Warszawie i BIPS w Gdańsku), który potem powielalem, najczęściej na dwóch stronkach kartki formatu A4, a następnie rozwożono to do komisji zakładowych Związku w mieście i regionie. Informacje, z których korzystałem, przychodziły dalekopisem, który w tamtych czasach pełnił rolę nie istniejącego jeszcze internetu. (Skrót TAS oznaczał Toruńską Agencję Solidarności, podległą rzecznikowi prasowemu ZR NSZZ „S” Zbigniewowi Iwanowowi, słynnemu już poprzedniej zimy – jako liderowi tzw. „struktur poziomych” w PZPR.) Praca musiała być wykonywana nocami, aby na rano nakład był gotowy. Był piątek 11 grudnia, wieczór. Wśród spływających informacji zobaczyłem również taką (pochodzącą chyba z serwisu Regionu Mazowsze), że zauważono sporą kolumnę pojazdów **milicyjnych**, jadących ze Słupska do Trójmiasta. Natychmiast skojarzyło mi się to z wydarzeniami sprzed 11 lat: wtedy poszczególnym datom przypadły te same dni tygodnia co „teraz” czyli w 1981 roku, a pamiętna rola **milicji** ze Słupska w tłumieniu robotniczych demonstracji w 1970 r. była znana — choćby z piosenki, utrwalonej m.in. w filmie **„Człowiek z żelaza”**. Pomyślałem jednak, że to ma związek z obradami Komisji Krajowej, które już trwały w Gdańsku, a zapowiadały się dość dramatycznie. (Pomyślałem także, że może znowu coś niepokojącego się dzieje, jeśli jest prawdziwa hipoteza, iż wzrosty aktywności Słońca, powtarzające się średnio właśnie co 11 lat, sprzyjają wzrostom aktywności ludzi.)

Toteż nie zmieniłem podjętego już zamiaru i w sobotę wybrałem się do Gdańska. (Dokładniej mówiąc, na weekend 12-13 grudnia rozważyłem trzy różne kierunki wyjazdów; dwa pozostałe to: kolejna służbowa podróż do Łodzi, która chyba jednak nie musiała odbyć się koniecznie w tym właśnie terminie, a także prywatny wyjazd na jakieś **opozycyjne** przedsięwzięcie we Wrocławiu, prawdopodobnie współorganizowane przez Adama Pleśnara, uczestnika **Ruchu Wolnych Demokratów**. Upływ czasu i bardziej niż skąpe zapiski w kalendarzyku nie pozwalają mi dokładniej tego przedstawić, ani np. objaśnić, czym kierowałem się, wybierając tym razem kierunek północny.) Zamierzałem mianowicie udać się do redakcji nowo powstałego drugoobiegowego pisma **„Akwilon”**, tj. do braci Pawła i Tomasza Zbierskich – ówczesnie studentów – którym chciałem przekazać do ew. opublikowania trzy swoje teksty, związane z moją niedawną aktywnością w **Ruchu Młodej Polski**. Najpierw, tj. w sobotę wieczorem, pojechałem jednak do Gdyni-Chylonii, do mieszkania Wiesławy Kwiatkowskiej, gdzie byłem umówiony z Januszem Krupskim (oboje znałem jako pracowników Komisji Krajowej NSZZ „S”, zajmujących się historią, m. in. właśnie — wydarzeń tragicznego **Grudnia 1970 r.**, zaś Krupskiego także jako redaktora naczelnego lubelskiego drugoobiegowego kwartalnika **„Spotkania. Niezależne pismo młodych katolików”**). Janusz Krupski był (rozmowa z nim odnosiła się głównie do spotkania kilku osób, związanych ściślej i luźniej z kwartalnikiem **„Spotkania”**, w tajemnicy zaplanowanego na czas

krótko po świętach Bożego Narodzenia, gdzieś w górach, o ile dobrze pamiętam, to we wsi Małe Ciche; gdyby to przedsięwzięcie nie zostało pokrzyżowane przez **stan wojenny**, może powstałby załazek jeszcze jednej partii politycznej w Polsce, zapewne o chadeckim obliczu...), czekał również na wciąż nieobecną Kwiatkowską, w końcu jednak musiał pójść na pociąg, bo wybierał się do Lublina, z którym był od dawna różnorodnie związany.

Mnie nie pozostało nic, tylko kontynuować czekanie, ale to się przeciągało, a było mi niezręcznie wpraszać się na nocleg do znanej mi już, ale samotnie mieszkającej kobiety, i to podczas pierwszej u niej wizyty. Wydzwaniałem więc stamtąd do kolegów z **RMP**, m. in. do Leszka Jankowskiego z Gdańska-Wrzeszcza — od niego dowiedziałem się, że nocowanie u nich może być tym razem ryzykowne, a oni sami (wspomniał Aleksandra Halla, przywódcę **RMP**) starają się nocować poza swoimi mieszkaniami. Skojarzyłem to natychmiast z ową wiadomością o kolumnie pojazdów **milicyjnych** ze Słupska, która zapewne już poprzedniego dnia przybyła do Trójmiasta, jednak nadal wyobrażałem sobie, że ewentualna akcja **milicji** i **bezpieki** będzie miała zasięg lokalny, ograniczony do Trójmiasta, a zapewne będzie w niej chodziło o wyłapanie działaczy krajowych władz „**Solidarności**” i przy okazji — przedsięwzięciowych opozycjonistów, których w Trójmieście trochę mieszkało. Toteż rozważyłem również taki pomysł, aby pójść na pociąg osobowy Gdynia-Warszawa (na który wybrał się już Krupski), pojechać do Działdowa, a po godzinnym czekaniu na tamtejszym dworcu — pojechać z powrotem pociągiem osobowym Warszawa-Gdynia, kiedy już będzie „po wszystkim”. Z lenistwa jednak nie zrobiłem tego. (Pozwoliłem sobie zadzwonić do Adama Pleśnara i powiadomić go o nieprzyjechaniu do Wrocławia.)

Gdy Wiesława Kwiatkowska przyszła wreszcie do domu, przegadaliśmy kilka godzin, zawzięcie się spierając o racje radykałów i ugodowców w „**S**” (wówczas trzymałem z tymi drugimi), a nie mając pojęcia, że to, co działo się od północy (a chyba nawet troszkę dłużej), czyniło owe spory czymś bardzo abstrakcyjnym i mało aktualnym zarazem... Nazajutrz rano Kwiatkowska zapukała do pokoju, w którym mnie przenocowała, ze słowami: „*Konrad, wstawaj, wojna w Polsce*”. Nic nie rozumiałem, słyszałem tylko jakieś mamrotanie, którym okazało się telewizyjne przemówienie gen. Jaruzelskiego, emitowane po raz już kolejny — tym razem było krótko po godz. 9. Po odpłynięciu resztek snu zacząłem powoli rozumieć, zacząłem w myślach nawet (co za naiwność! — aż wstyd się przyznać...) wyobrażać sobie, że Jaruzelski naprawdę robi, to, co mówi, a tylko nie może tego wyraźniej powiedzieć, że zbrojna interwencja **sowiecka** była o włos, a on chce jej zapobiec, a nawet ewentualnie (!) stawić opór... Gdy jednak po zakończeniu przemówienia telewizja wyemitowała hymn narodowy, odruch miałem zupełnie przeciwny: „*to jest skurwysyństwo, najpierw wypowiadać wojnę swojemu narodowi, a potem odwoływać się do słów 'jeszcze Polska nie zginęła!'*” — tu Wiesława i ja byliśmy zgodni. Oboje rychło dokądś się wybieraliśmy, ja pojechałem do Gdańska, na mszę do kościoła p.w. św. Brygidy, spodziewając się, że dowiem się czegoś istotnego w czasie ogłoszeń parafialnych. Niczego takiego jednak nie dowiedziałem się. Udałem się pod Stocznę Gdańską, usiłując wejść do środka, okazywałem dokumenty, świadczące o tym, że jestem dziennikarzem solidarnościowym z Torunia, ale — na moje szczęście! — nie zostałem w ogóle wpuszczony przez bramę. Spróbowałem odwiedzić mieszkającą niedaleko stoczni Barbarę Hejcz, studentkę, działaczkę opozycji przedsięwzięciowej — od jej rodziców dowiedziałem się, że została zabrana jeszcze przed północą.

Poszedłem więc na ul. Targ Rybny, do Lecha Bądkowskiego, redaktora naczelnego tygodnika „**Samorządność**” (którego trzeci numer pojawił się w kioskach Trójmiasta w sobotę, chociaż z datą poniedziałkową: 14 grudnia; gazeta teoretycznie była ogólnopolska, jednak

docierała głównie do 6 województw, bliskich od wschodu i zachodu dolnemu biegowi Wisły). Współpracowałem z **"Samorządnością"** na zasadzie tzw. ryczału; jadąc z Torunia miałem zresztą zamiar dostarczyć redakcji swoje zdjęcie do legitymacji dziennikarskiej. U Bądkowskiego było dwoje jego zastępców: Izabella Trojanowska i Janusz Daszczyński. Bądkowski dosyć spokojnie przyjmował sytuację, np. nie reagował szczególnie na mój argument, że skoro nocna łapanka objęła również tak stosunkowo mało znane i mało groźne dla reżymu osoby jak Basia Hejcz, to widocznie słowo „ekstremiści” użyte przez generała jest kolejnym propagandowym epitetem, a nie występuje w swoim rzeczywistym znaczeniu... Bądkowski doradził mi, abym jeszcze przed godziną **milicyjną** znalazł się w miejscu, gdzie jestem zameldowany.

Na dojechanie do Torunia w takim terminie mogło już być dla mnie w tym momencie za późno, zwłaszcza biorąc pod uwagę nagle zwiększony tłok w pociągach, toteż pojechałem do swojego rodzinnego miasteczka Skarszewy (44 km od Gdańska), licząc na to, że teraz spotkam się z rodzicami, a w przeciwnym razie byłoby nie wiadomo, kiedy miałbym taką okazję. Następny dzień przespałem, aby nie myśleć o tym, co się dzieje, dopiero we wtorek po południu poszedłem do Urzędu Miasta i Gminy, aby dopełnić zaostrzony obowiązek meldunkowy (ze Skarszew do Torunia na stałe zdążyłem być przemeldować się w sierpniu 1981 r.). Pozostało mi czekanie, aż po mnie przyjdą, tymczasem zaś — słuchanie **Wolnej Europy** (która powielała różne dziwne mylne wiadomości, może średniowiecznym tatarskim zwyczajem wojennym, gwoli paraliżowania nieprzyjaciela za pomocą grozy, celowo rozpuszczane przez reżym, jak np.: ciężkie pobicie Adama Michnika, śmierć Jacka Kuronia i Zbigniewa Iwanowa). Okazało się, że najpierw, tj. chyba w 2 tygodnie po rozpoczęciu **stanu wojennego**, przybyli brat Gerard i bratowa Ewa, wtedy — studenci WSP w Bydgoszczy, będący 4 miesiące po ślubie. Kilka dni kontaktu z bratem bardzo mi pomogło; to on był pierwszym, który pomógł mi wydobyć się ze stanu psychicznego rozbrojenia, przekonywał, że *„walka nie skończyła się, ale dopiero się zaczyna”*. Po mnie przyszli dokładnie w 3 tygodnie po rozpoczęciu się **stanu wojennego**, tj. w niedzielę 3 stycznia – marynarz w mundurze „moro” i z bronią gotową do strzału oraz milicjant. Milicjant prywatnie znał się z moim bratem, najpierw myślał, że to o niego chodzi, dopiero, gdy zapytałem, o którego Turzyńskiego chodzi, bratowa przestała być bliska rozplakaniu się. Cenę za ten dzień zapłaciła matka: natychmiast straciła apetyt, coraz trudniej było jej jeść, w jesieni była wychudzona jak więzień obozu koncentracyjnego, okazało się, że cierpi na raka przełyku – choroba jeszcze długo wyniszczała jej organizm, aż do zgonu w półtora roku później (3 lipca 1983 r.).

Przebywając potem w ośrodkach odosobnienia dla internowanych w Potulicach koło Nakła (od 8 stycznia) i potem – w Strzebielinku koło Wejherowa (od 31 marca), słyszałem o swoim rzekomym ukrywaniu się w Skarszewach różne rzeczy. We wspólnej celi ośrodka odosobnienia w Potulicach Jacek Kalas, działacz **NZS** na UMK, wyrzucał mi: *„siedziałeś na dupie!”*, podczas gdy on dzielnie się ukrywał, dopóki nie wydała go jakaś konfidentka. Po upływie kilku miesięcy, w ośrodku odosobnienia w Strzebielinku, od działacza **RMP**, Dariusza Kobzdeja ładną, ale zupełnie fałszywą, legendę: jakobym ukrywał się w Skarszewach, w budynku starej, opuszczonej szkoły, i to wraz z grupą kilkunastu innych "młodopolaków"... Co dziwne, **Służba Bezpieczeństwa** również przypuszczała, że się ukrywałem, ale w Toruniu; do mieszkania już internowanej Aleksandry Kuczyńskiej (mojej byłej przełożonej z lata 1981 r. gdy pracowałem w Ośrodku Prac Społeczno-Zawodowych ZR NSZZ „S” w Toruniu) w dniu 29 grudnia ponownie przyszła ekipa esbeków, uważając całkowicie mylnie, że jestem narzeczonym Kuczyńskiej i że ukrywam się u jej rodziców (sprawdzali ponoć nawet w pianinie). Generalnie jednak wspominam pobyt w „obozach”

korzystnie. I dla **reżymu**, i dla niedobrowolnych „wczasowiczów” owe ośrodki pełniły rolę wentyli bezpieczeństwa: władze tolerowały tam wiele takich zachowań, za które na tzw. wolności można było niemal ooberwać. Uwięzienie uchroniło mnie m. in. przed... uwięzieniem (na gorszych warunkach), a poza tym ułatwiło – tak jak wielu innym internowanym – nawiązanie licznych nowych znajomości. Latem, kiedy już ponownie działał program III Polskiego Radia i można było odbierać go przez więzienny radiowęzeł, czułem się w strzebielińskim „obozie” niemal tak, jak parę lat wcześniej w akademiku.

Na krótko przed **stanem wojennym** miałem zamiar spróbować powrócić do swojej pierwotnej pracy w Zakładzie Logiki na UMK, od której zostałem w poprzednich 2 latach dwu-etapowo odsunięty, jednak przy zachowaniu (zwłaszcza w 1980 r.) pozorów mojej dobrowolności w odchodzeniu, toteż nie wystąpiłem zaraz po Sierpniu o przywrócenie do pracy z powołaniem się na stosowny punkt Porozumienia Gdańskiego. Jednak właśnie nadarzyła się okazja w postaci zwolnienia się w nadrzędnym Instytucie Nauk Społecznych etatu, który zwolnił był pewien działacz **partyjnych „struktur poziomych”**, oddelegowany do pracy w **Komitecie Miejskim PZPR**, i ogłoszono konkurs na asystenta w Zakładzie Logiki. Po kilku tygodniach pobytu w Potulicach otrzymałem jednak pisemne powiadomienie z uniwersytetu, że konkurs, w którym brałem udział jako jedyny uczestnik i wygraną miałem praktycznie „w kieszeni” (aktywność dziennikarską zamierzałem ograniczyć do współpracy z tygodnikiem **„Samorządność”**), został unieważniony z tego prostego powodu, iż... ów działacz **partyjny** (również zresztą internowany w Potulicach, ale zwolniony stamtąd jeszcze przed moim przybyciem do tego obozu) został przez wojskowych komisarzy nadzorujących instancje partyjne pozbawiony swojej nowej funkcji, przez co musiał powrócić na poprzedni etat, a tym samym tenże etat przestał być przedmiotem konkursu. Zaczęła się dla mnie długa droga, która trwała (jak teraz wiem) siedem lat, obejmowała zatrudnienie kolejno w sześciu różnych zakładach pracy i tym samym sześciu (zupełnie mi obcych – poza jednym) zawodach wykonywanych, ale także pięć okresów bezrobocia, dziesiątki całkowicie nieudanych prób zatrudnienia się gdziekolwiek, w tym co najmniej kilka prób (na uniwersytecie i nie tylko tam), odnoszących się do trzech różnych specjalności mojego zawodu wyuczonego (tj. matematyki).

Pewne wiadomości tu zawarte umieściłem już wcześniej w tekstach: „*Lata znajomości z Bądkowskim*”, miesięcznik **„Pomerania. Miesięcznik społeczno-kulturalny”**, nr 8(160) z sierpnia 1986 r., str. 1-6, oraz: „*Czas przeszły dokonany*”, tygodnik **„Myśl Polska”**, nr 40(1603) z 1 października 2006 r., str. 16/17, i nr 41(1604) z 8 października 2006 r., str. 16/17. Z żalem dopowiadam, że spośród wyżej wymienionych osób nie tylko **moi rodzice**, ale także sześcioro – na ogół znacznie młodszych – ludzi już nie żyje: **Lech Bądkowski** zmarł w 1984, **Zbigniew Iwanów** w 1987, **Izabella Trojanowska** i **Dariusz Kobzdej** w 1995, **Jacek Kuroń** w 2004, **Wiesława Kwiatkowska** w 2006, a **Janusz Krupski** zginął nad Smoleńskiem w 2010 roku..

Powyższy tekst był pierwotnie przeznaczony na konkurs, zorganizowany przez program II Polskiego Radia w związku z 25. rocznicą ogłoszenia stanu wojennego.